ECHO Z AFRYKI.

Grudzień 1901. Rok IX. Nr 12.

Królowo Niebios Maryo, módl się za nieszczęśliwymi Murzynami!



Aby się stali godnymi obietnic Chrystusowych!

Błogosławione przez Jego Świątobliwość Papieża Leona XIII.

Katolickie miesięczne pismo dla popierania dzieła misyjnego wychodzi w polskim, niemieckim, włoskim, francuskim i czeskim języku. Cena rocznie z pocztą dla Austryi 1 korona 20 halerzy; dla Niemiec 1 mk. 20 fen.; dla krajów związku pocztowego 2 fr. 50 cent.; dla Rosyi 1 rsb.

Adres dla przesyłania prenumeraty i ofiar: Kraków, Starowiślna Nr 3.

Odezwa do naszych Dobrodziejów.

Z powodu zbliżającego się Nowego Roku, Sodalicya Św. Piotra Klawera składa serdeczne podziękowanie swym prenumeratorom, dobrodziejom i przyjaciołom za współudział w modlitwach i za pomoc pieniężną wpływającą za pośrednictwem pisemka naszego, na wykup niewolników, przygotowanie ich do Chrztu św. i zaspokojenie chociaż w części potrzeb misyonarzy, których Bóg wybrał na swych posłanników, mówiąc: *Idźcie i bądźcie źródłem prawdy i życia!* Z olbrzymim też wzrostem misyj we wszystkich częściach świata, gdzie kilkadziesiąt tysięcy kapłanów, braci zakonnych i zakonnic pracuje około nawrócenia pogan, wzrosły potrzeby materyalne na utrzymanie zakładów misyjnych, szkół, seminaryów, schronisk, budowę kościołów i kaplic. Wobec niewystarczających zupełnie funduszów, rzymskiej propagandy wiary, Opatrzność Boża w przedziwny sposób zaradziła tej potrzebie, budząc w sercach wiernych ofiarność na cele misyjne. Ze świętą radością śledził Papież Leon XIII to chrześcijańskie przedsięwzięcie i w końcu roku 1890 *wydał Encyklikę do Biskupów całej kuli ziemskiej,* w której Jego Świątobliwość ustanowił *w dzień Trzech Króli w całym katolickim świecie składkę na rzecz antyniewolnictwa.*

O ogłoszenie tego postanowienia z ambon na tydzień przed uroczystością Trzech Króli najpokorniej upraszamy Przewielebne Duchowieństwo, nadmieniając cokolwiek o misyjnem działaniu Kościoła katolickiego w Afryce, którego wiernem powtórzeniem jest nasze „Echo z Afryki." *Zostańmy więc rybakami dusz,* łowiąc prenumeratorów na „Echo"! W końcu przy nadchodzących świętach Bożego Narodzenia i Nowego Roku składamy życzenia obfitych łask Bożych wszystkim prenumeratorom, dobrodziejom i przyjaciołom naszym, o co błagać Boga nie przestajemy, polecając nawzajem drzewko Sodalicyi naszej Ich modlitwie o coraz obfitsze owoce pracy na korzyść bardzo drogich nam misyj afrykańskich, tak wielki udział we wzniosłem dziele zbawienia dusz biorących.

M. T. Ledóchowska, Jeneralna kierowniczka.

SODALICYA Św. PIOTRA KLAWERA,

PRZEZ

Dra HUGONA MIONI.

(Dokończenie).

9. Sodalicya Św. Piotra Klawera w obecnej chwili.

Sodalicya Św. Piotra Klawera jest jeszcze młodą. Liczy zaledwie lat sześć, któreto lata były czasem wielkich trudów i ciągłej walki, jaką każda Kongregacya zakonna staczać musi. A do walki Sodalicya stanąć była zmuszona najpierw z nieprzyjaciółmi wszelkiego dobra, z ludźmi będącymi jej przeciwnikami dlatego, że są wrogami wszystkiego, co z religią ma związek. Potem wypadło jej odpierać zarzuty dobrych chrześcijan katolików zadania jej nie pojmujących, lub obawiających się ujmy dla innych związków afrykańskich. „Ustawy, któremi ma się rządzić Sodalicya, powinny być wypróbowane" — mówili jedni. „Należy takowe do wymagań epoki zastosować, instytucya powinna dać się poznać pierwiej" i t. d. — utrzymywali inni.

Kto choć trochę z historyą powstania wielkich Zakonów i Kongregacyj się zapoznał, w podziw zostaje wprowadzony na widok rozwoju Sodalicyi Św. Piotra Klawera w ciągu zaledwie sześcioletniego jej istnienia.

Sodalicya w ciągu tego krótkiego czasu wzniosła duży Zakład misyjny „Maria Sorg" koło Salzburga (wieś Lengfelden) w Austryi, gdzie już piękna apostolska drukarnia od lat paru błogosławioną pozwala rozwijać działalność. Nadto w końcu r. 1900 liczyła Sodalicya fillij i kancelaryj prywatnych w Europie 19 *). W skład zaś jej wchodziło: 41 członków internatu, 49 członków eksternistów (w tej liczbie 9 kapłanów), 2660 zelatorów i 12 członków honorowych.

*) Obecnie jest już ich 29.

Dziesięć Sióstr Misyonarek zostało już przez Sodalicyą wykształconych; niektóre z nich pracują w rozmaitych zakonnych Kongregacyach w Afryce.

A jeżeli zważymy, że do końca 1899 r. wysłała Sodalicya do Afryki 300.000 koron (118.000 rs. górą), tudzież bardzo wiele najrozmaitszych przedmiotów; że urządzała w wielkiej ilości: odczyty, przedstawienia teatralne, bazary, wystawy afrykańskich osobliwości; że przedsiębrała liczne w celach propagandy podróże, które też niejednokrotnie i Misyonarzom bywały ułatwiane: trudno, by powodzenie tak młodego Zgromadzenia nas nie zadowolniło.

Na zakończenie chcę parę słów do tych zwrócić, którzy Matkę naszą Kościół katolicki kochają i zacnem, współczucia pełnem na cierpienia ludzkości sercem są obdarzeni.

Do tych chciałbym powiedzieć:

Spójrzcie, żniwo w Afryce dojrzało. Boski Właściciel chce je do swych zebrać stodół, lecz *plon obfity, a robotników mało!* a i tej drobnej garstce braknie środków, by zbiory do śpichlerzy Kościoła św. wprowadzić. Sodalicya Sw. Piotra Klawera dostarcza pracowników do winnicy Pańskiej i stara się ich zaopatrzyć w potrzebne środki. Wiele już uczyniła, lecz zawsze jeszcze potrzeby i nędza Misyonarzy są niezmierne, a mała bardzo ilość walczących dla misyj Sodalisek, które tak szczerze wszystkim Misyonarzom pomódzby chciały. Wspierajcie więc Sodalicyę Św. Piotra Klawera, nie opuszczajcie jej w walce o Afrykę! Pomagajcie, póki czas! Spójrzcie bowiem! Protestanci dobrze zrozumieli, że teraz właśnie nadeszła chwila żniwa, posyłają też w wielkiej ilości pracowników swych do Afryki i ci wiele dusz dla wiary błędnej pozyskują. A my, katolicy, dzieci prawdziwego Kościoła, mielibyśmy pozostać za nimi, patrząc bezczynnie jak dusze giną nie z braku dobrej woli, lecz z *naszej winy*, gdyż święty obowiązek wspierania misyj katolickich zaniedbujemy! Co usłyszymy, stanąwszy na sądzie ostatecznym wobec Boga, gdy wskutek naszej oziębłości, obojętności tyle dusz w przepaść zostanie pogrążonych?

Powstańmy więc! Powstańmy do walki o Afrykę, do tej nowej krucyaty, w której już nie o zdobycie na mahometanach opróżnionego Grobu Zbawiciela, ale o uwolnienie z pod przemocy szatańskiej żywych świątyń Ducha Świętego idzie! Naprzód więc! na ratunek dusz ręka w rękę z Sodalicyą Św. Piotra Klawera!

Kto otrzymał od Boga łaskę powołania, niech do internatu wstępuje; *wielu* może zostać eksternistami, *wszyscy* — zelatorami. Tym sposobem Sodalicya w potężną armię bojową wzrośnie i pod opieką wielkiego swego Patrona, Św. Piotra Klawera zdobędzie czarną część świata dla Zbawiciela. Gdy zaś Afryka zostanie już dla katolicyzmu pozyskaną, będzie mogła Sodalicya z głębi serca hymn pochwalny starca Symeona powtórzyć:

„Panie, teraz puść sługę Swego w pokoju, jako powiedziałeś, gdyż oczy moje ujrzały Zbawienie, ktore zgotowałeś w obliczności wszystkich ludów — Światło dla oświecenia pogan!“

Wówczas zadanie Sodalicyi będzie spełnione i z walczącego tu na ziemi Zgromadzenia, stanie się chwały pełnym zastępem w niebie przeobficie za dokonanie błogosławionego apostolstwa nagrodzonym, gdyż:

„Z rzeczy Boskich najbardziej Boską jest współpracować nad zbawieniem dusz!“

O. A. M. D. G.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE Z MISYJ.

Misya Franciszkanek w Abisynii.

Pokój Chrystusowy niech będzie z nami!

Harar, 25 listopada 1900.

. . . .

Słówko tylko o naszej kochanej misyi w Harar, o naszej biednej Abisynii.

Łatwo sobie wyobrazić, co za nieustanną walkę prowadzić trzeba w mieście mahometańskiem, gdzie królują występne skłonności niczem nie ujarzmionej natury. W istnem tem państwie szatana, wśród którego przebywamy, powstają dobroczynne instytucye same przez się, jakby cudem. Powtarzające się usilne prośby o danie im początku, zanoszone są co chwilę; ale jak tu myśleć o takich przedsięwzięciach, kiedy niema za co!.. Trzeba więc przeczącą dawać odpowiedź, choć serce się krwawi. W małym naszym domku w Harar to tylko czynić możemy, co jest niezbędnem. Ciasne mieszkanie staje dobrej woli na przeszkodzie. Czterdziestu naszym dziewczątkom pokój do nauki służy zarazem jako refektarz, sypialnia, pracownia. Pomimo to nowy powstał u nas przytułek, o którym się prawie nie myślało. Z tuzin małych dzieci znajduje schronienie w domu, gdzie nasze duże murzynki chleb pieką. Maleństwa te, że tak powiem, od Boga nam zesłane; jedne znaleziono na ulicy, inne powierzono nam w celu ustrzeżenia od mahometanizmu lub herezyi. Jedna jedyna izba i małe podwórko, to cały ich lokal i miejsce zabawy. — Jako klasztor również jeden pokój dla wszystkich do wszystkiego służyć musi. Ale znieślibyśmy to chętnie, byleby tylko działalność nasza rozszerzyć się dała. W tych dniach jeszcze przybyły młode kobiety abisynki, prosząc, byśmy je na naukę chrześcijańską przyjęły, prostota bowiem i prawość nasza zwróciła ich uwagę, ujawniając zarazem straszny upadek ich religii. Z drugiej strony stare już kraju tego mieszkanki, które znały ś. p. wielkiego kardynała Massaja, oraz nieodżałowanego drogiego naszego Ojca duchownego, Msgra Taurin'a i nauki tego ostatniego w pamięci przechowały, błagają o przyjęcie, by módz w „domu dziewic“ zakończyć życie. Wielu chorych (ci są najliczniejsi), schodzi się każdego poranku u drzwi naszych. Ach, gdybyśmy przynajmniej szpital miały!..

Zadziwiający zbieg okoliczności! Wezwana w ważnej sprawie, musiałam list ten przerwać. Dobry O. Superior rzekł do mnie: „Czcigodna Matko, Bóg z wami. Ras Mekomen zamierza do waszej Kongregacyi przenieść 150 trędowatych, których wypędził dziś z miasta z powodu przykrej woni, jaką wydzielają ci nieszczęśliwi. Nikt o nich się nie troszczy, są też na łup hyen oddani. Czyn ten nieludzki dręczy jego sumienie, a szczególnie obawia się on wyrzutów licznych w stosunkach z nim będących cudzoziemców, zwraca się więc do was. Sprawa nie cierpiąca zwłoki; trzeba prowizoryczny urządzić szpital.“ Rozważywszy rzecz całą, czekamy teraz decyzyi Rasa. Oby Pan Bóg plany te urzeczywistnił! Byłoby to szczególnem błogosławieństwem Bożem dla naszej misyi. Pielęgnując ciało, ileżby dusz dla nieba zdobyć można!

Proszę mi przebaczyć długość tego listu, Droga Pani, ale nie sąż to sprawy wspólne dla serc apostolskich! Polecam modlitwom Pani i Jej Sodalicyi szczególnie drogą misyę naszą i osobę naszego nowego Najprzewielebniejszego Biskupa Jarosseaux.

Franciszkanka z Harar.

OO. Biali.

Wśród mahometan.

Na samotnych szczytach Djurjury, wśród nieokrzesanego ludu, misyonarz kraju Kabylów naznaczone ma stanowisko. Kraj ten więzami mahometanizmu spętany, niewdzięcznym jest gruntem dla jego apostolskiej działalności. Musi on tu dusze jedną po drugiej islamowi wyrywać, czatować niejako na każdą z osobna, każdą otaczać troskliwością i jak egzotyczną roślinę pielęgnować. Praca to nużąca nad wyraz, nie idzie jednak na marne. Misyonarz wie o tem; to też śledzi rozwój dusz dziecięcych szczególniej, by pierwszego tchnienia Ducha Św. nie przeoczyć.

. . . .

Salah, syn Hameda, od lat najmłodszych fanatycznie do wiary mahometańskiej był przywiązany; żaden też z misyonarzy nie liczył na jego nawrócenie.

Ojciec i matka, zagorzali zwolennicy islamu, przekonania swoje w syna wpoili, ucząc zawczasu, że wyznawcy Mahometa wybranym są od Boga ludem, że otrzymali oni od nieba przywilej używania w tem i przyszłem życiu rozkoszy, i że dzięki pośrednictwu proroka, żaden z nich nie idzie do piekła, które będzie udziałem wszystkich chrześcijan, nie wyłączając misyonarzy, kryjących pod pozorem cnoty występki rozliczne. Rodzice zaprowadzili go do wielkiego Marabuta w sąsiedztwie. Błogosławieństwo tego człowieka miało go na zawsze w wierze mahometańskiej utwierdzić. Wkrótce potem Salah stracił matkę, dostając się pod opiekę dziadka i babki.

*

Smutna opieka! Według pojęć Kabylów, wszyscy ludzie starzy, są źli i okrutni. Nowonarodzone dziecko, jak utrzymują, przychodzi na świat bez błędu, ale każdy rok życia przynosi mu jedną winę, tak, że 80 letniego starca możnaby nazwać zbiorem 80 rozmaitych występków. Najsmutniejszem zaś to, że starzy Kabylowie przesąd ten najzupełniej usprawiedliwiają, będąc czarownikami i oddając się całkiem na usługi ducha ciemności. Salah uczniem był pojętnym. Nienawidził on całą siłą swego młodego serca chrześcijan, prześladował swych towarzyszy katechizmu się uczących i poprzysięgał sobie w duchu nigdy nie zostać chrześcijaninem. Pomimo to przykład rówieśników, którzy ze szkoły Ojców nie jeden ładny przynieśli do domu przedmiot, zachęcił go do uczęszczania do tejże szkoły. Uzyskał pozwolenie, polubił naukę i stał się jednym z najpilniejszych naszych uczniów. Dla sprawienia przyjemności nauczycielom, zdecydował się on nawet na uczenie się katechizmu. Wkrótce umiał go w całości na pamięć i zaczął wnikać w treść samą. Częste obcowanie z misyonarzami nauczyło go szanować ich, a zdrowy rozsądek wykazał mu niesprawiedliwość potwarzy rzucanych przez rodziców. Czuł on teraz do chrześcijan pociąg; serce mu mówiło, że są oni lepsi od muzułmanów i że ich to wiara właśnie mogła być prawdziwą. Od tej chwili wstąpiła w serca nasze nadzieja pozyskania go dla świętej naszej religii, a że wzmiankowano o wyjeździe Salaha do krewnych do Madjany, uczyniliśmy małą ofiarę pieniężną i wzięliśmy chłopaka do internatu, choć liczba uczniów była w komplecie. Dziadek jego i babka wskutek zaślepienia wytłómaczyć się nie dającego, jeśli się wykluczy działanie Boże, przystali na wszystko. W ciągu dziewięciu miesięcy Salah pociechą był naszą i radością. Oświadczył on życzenie przygotowania się do studyów teologicznych, pragnął bowiem gorąco zostać misyonarzem, choć nie był on dotąd ani ochrzczony, ani zaliczony nawet między katechumenów. Nadeszła chwila łaski, a z nią chwila walki, zły duch bowiem nie wyrzekający się tak łatwo swej zdobyczy, zastosował ulubioną swą taktykę bojową, wprowadzając w ruch złe języki. Szeptano tu, szeptano tam, aż doszła wiadomość do dziadków Salaha, iż wnuk ich wiary Mahometa się wyrzekł i nie śmie już wymówić zdania koranu: „La ila, illa Allah, Mohamed reçoul Allah“ t. j. „Jeden tylko jest Bóg i Mahomet Jego prorok.“ Nie omieszkano też uczynić starcom wyrzutu, że za kawałek chleba dziecko sprzedali chrześcijanom i że dziecko to je wieprzowinę i pije wino pomimo zakazu proroka. Zdziwieni, zaniepokojeni, pobiegli starcy z szybkością, na jaką im nogi pozwoliły, do misyi, i, zarządawszy widzenia się z Salahem, błagali go o zadanie kłamu potwarzom wymówieniem słów koranu.

— To tak łatwo: La ila, illa Allah! Powiedz raz jeden, cichutko, na ucho... Ojcowie nic o tem widzieć nie będą.

— Lecz Bóg będzie wiedział! — odpowiada dziecko.

Wówczas wściekłość opanowuje starców, nie zadawalniają się oni groźbą i przekleństwem, lecz dają wiedzieć o tem, co zaszło, ojcu Salaha, a ten, pod pozorem rodzinnej uroczystości, chłopca do domu uprowadza.

Co nastąpiło wówczas, opowiada nam Salah później swym dziecięcym, pełnym prostoty językiem:

„Gdy do domu przyszedłem, pod pretekstem bolu oczu, na który cierpiałem od dni kilku, położyłem się na macie w ciemnym kącie pokoju, ojciec usiadł przy mnie i zapytał:

— Salahu, czy bardzo oczy cię bolą?

— Tak, ojcze, odpowiadam.

— Wówczas ojciec zwrócił się do mej babki:

— Ludzie mówią, że Salah został chrześcijaninem, że koranu już nie odmawia Czy to prawda?

— Najlepiej jego zapytaj o to — odpowiada babka — a zobaczysz.

— Powtórz wiersz z koranu! odzywa się teraz do mnie ojciec.

Milczałem. Ojciec rozgniewał się i rękę podniósł do uderzenia, lecz spuścił ją ze słowami:



Żaglowe łodzie na Nilu.

— Oszczędzę ci razów, ponieważ jesteś chory, ale na Mahometa! noga twoja więcej w misyi nie postanie! Bóg nigdy nie przebaczy nam zbrodni powierzenia ciebie Ojcom. Jednego mamy tylko syna i ten wiary swej się wypiera!

Wieczorem, pomimo uczynionej przysięgi, Hamed, przyprowadził syna do misyi dla zabrania pozostałej tam garderoby. Biedny chłopiec rzucał załzawione, błagalne na nas spojrzenia, lecz, niestety, mogliśmy go tylko pobłogosławić i kilku z cicha wymownemi słowami odwagę jego wzmocnić.

Po upływie kilku dni ukazał się znów Salah w misyi; uciekł na chwilę z domu i opowiedział, co następuje:

„Wieczorem po kolacyi, dziadek, babka i ojciec, powtórzywszy zamiast modlitwy zdanie z koranu, zamierzali wyciągnąć się na macie, gdy ja, burzę przeczuwając, w głębi serca Matkę Boską o pomoc, męztwo i siłę błagałem. I w istocie ojciec rzekł do mnie: „Salah, mów z nami słowa koranu!“ Przez litość, ojcze, nie żądaj tego!

Silne uderzenie było odpowiedzią na mą prośbę. A gdy ojciec ujrzał łzy nabiegające mi do oczu, straszne posypały się przekleństwa.

— Wierz mi, Hamedzie — przerwała babka — że trzeba go jutro do wielkiego Marabuta zaprowadzić, Salah otrzyma od niego amulet i będzie znowu w stanie koran powtarzać.

— Prawda, masz słuszność! Jak kamień jest kamieniem, tak mahometanin mahometaninem pozostanie, lub znów do wiary swej wróci! Spójrz tylko, Salahu, wszyscy twoi znajomi mahometanie do szkoły Ojców chodzili i pomimo to religii swej pozostali wierni; tylko ty, mały żydzie, psie, synie psa, wbiłeś sobie do głowy naukę chrześcijan! Bóg cię kiedyś do piekła wtrąci! Powiedz raz tylko: L a i l a, i l l a A l l a h, a będziesz wolny!

— Ojcze, proszę cię, daj temu pokój.

— Nie masz więc żadnej litości nade mną? Ja prawie już z domu wyjść nie śmiem, ze wszystkich stron bowiem słyszę tylko te słowa: „Co z ciebie za mężczyzna! Jak możesz znosić, żeby własny twój syn wiary ojców się zaparł!“ Za wszystko, co dla ciebie uczyniłem, proszę cię, Salahu o jedno, powtórz: L a i l a, i l l a A l l a h.

Gdy ja, opowiada nam dalej dziecko, trwałem ciągle w mem milczeniu, ojciec wykrzyknął: „Tem gorzej dla ciebie! Teraz choćbyś umarł w wierze żydowskiej, wszystko mi jedno! Będziesz jednak musiał ustąpić. Wezmę kij i będę cię nim okładał, aż mię posluchasz!“

Gdy dzień miał się ku schyłkowi i zachodzące słońce szczyty gór złociło, zbierala się rodzina Salaha na wieczerzę, wierność i cierpliwość dziecka na nową wystawiając próbę. Babka odtrącała z najwyższem obrzydzeniem podaną przezeń łyżkę, ojciec wahał się nazwać go synem, i tak mały, niezachwiany w wierze wyznawca, samotnie, jak zarazą dotknięty, spożywał swój skromny posiłek. Sen na wspólnej macie był mu również wzbroniony, musiał więc zmęczoną głowę na gołej kłaść ziemi, używając miotły za poduszkę. Na widok ten, radością wzbierało serce babki.

— Bóg przychodzi nam w pomoc, Hamedzie, bo słuchaj tylko, kto na miotle zasypia, zapomina do rana o czem myślał i co czynił wieczorem.

I stara układała się do snu w tem przekonaniu, że wnuk jej obudzi się nazajutrz wiernym zwolennikiem proroka. Zwodna nadzieja!... Mijają tygodnie, a prześladowanie dziecka się nie zmniejsza. Salah ufa niezachwianie Najśw. Pannie. Przez Nią, Matkę Boleści, ofiarowuje swe cierpienia Ukrzyżowanemu.

Innego dnia mieliśmy od Salaha następujące wiadomości:

„Wczoraj żądano odemnie znowu, bym tekst z koranu powtórzył; nie zgodziłem się na to oczywiście. Natenczas ojciec wziął sznur i rzekł do mnie: Bądź posłuszny, bo ręce ci spętam! Wyciągnąłem ręce, ojciec związał je mocno i przytwierdził koniec sznura do drabiny opartej o mur na dworze, potem zdjął ze mnie ubranie, zostawiając tylko koszulę zaledwie do kolan sięgającą.“

Trzeba wiedzieć, że chłód bardzo jest dotkliwy w tej okolicy, my zaś byliśmy w środku zimy i wieś grubą warstwą śniegu była pokryta. Salah drżał od zimna, płakał, lecz nie tracił męztwa.

„Znowu kazał mi ojciec — ciągnął Salah dalej — słowa koranu powtórzyć, jeżeli nie chcę być w piwnicy zamkniętym i bez pożywienia tam pozostawionym. Pokazano mi przytem wilgotne, zimne jak lód miejsce. Łzy były jedyną mą odpowiedzią. Wówczas odwiązał ojciec sznur od drabiny, wepchnął mię do piwnicy, drzwi zaryglował i odszedł. Od zimna niemal zesztywniały pozostałem tam do wieczora, t. j. do chwili, w której mój dziadek prośbą i groźbą chciał mię do odmawiania koranu zmusić. Gdy trud okazał się próżny, rozdrażniony w najwyższym stopniu starzec zawołał: Niewdzięczny potworze, synu bez serca, oby twój ojciec wziął fuzyę i zastrzelił cię!

— Tak — odrzekł ten ostatni — zebrałby się wprawdzie sąd dla ukarania nas, ale przynajmniej piesby ten był zabity, i hańba jaką na nas ściągnął — pomszczona!

„Rzucono się na mnie, lecz obawa śmierci dodała mi odwagi, zacząłem się bronić i uciekłem. Oto jestem, Ojcze! ratuj mnie, nie śmiem wrócić do domu, bo mię zabiją!“

Podczas kiedyśmy się naradzali, co z Salahem począć, ten schronił się w kaplicy koło Przenajświętszego Sakramentu. Ale... wilk w pobliżu czatował. W chwili, gdy chłopiec opuszczał kaplicę, Hamed rzucił się na niego, związał go i pociągnął za sobą. Gdyśmy nieobecność dziecka spostrzegli, było ono już daleko. Obawiając się nieszczęścia, pośpieszył jeden z Ojców za niemi, lecz chata była zamknięta; musiał wrócić z niczem.

Od czasu do czasu dochodziły nas wieści od trzymanego na najsroższej uwięzi Salaha, kładł on bowiem kartki do nas pod wiadomym kamieniem i towarzysze jego nam je przynosili. Ale Opatrzność Boska, nie dopuszczająca nigdy, by próba przeszła siły, czuwała nad mężnem dzieckiem, gotując mu oswobodzenie.

Pewna poczciwa rodzina włościańska poszukiwała chłopca do usługi; udało się nam dać znać o tem Salahowi, który znów uciekł, zapoznał się z nowym chlebodawcą i został na służbę przyjęty. Wkrótce zgłosił się i tam Hamed dla odebrania go, musiał jednak tym razem oporowi pana domu uledz.

*
* *

Miałbyż teraz misyonarz, wobec tak wspaniałych przykładów stałości w wierze, takich dowodów ducha ofiary ze strony trzynastoletniego nieochrzczonego jeszcze chłopca, nie dziękować Bogu i nie wielbić działanie wszechpotężnej Jego łaski! Tak, praca w winnicy Pańskiej nie jest bezowocną, a chociaż ciernie nieraz zakrwawią serce, kwiaty z tego ciernio-wego wieńca wyrastające, najwonniejsze i najpiękniejsze są właśnie. Chrześcijanie, pomóżcie nam ratować dusze! Dla ilużto biednych dzieci mogłaby misya nasza być zbawieniem, gdybyśmy tylko mieli możność ich przygarnięcia. Zwracamy się z ufnością do Boga: „Święć się Imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje!“ Miałożby to gorące błaganie pozostać niewysłuchanem?

ODCINEK.

PZYGODA Z LWEM.

Przez O. Sinner'a, Misyonarza północnego Zanzibaru.

Zapewne zajmie łaskawych Czytelników zdarzenie, na myśl o którem dreszcz mię przejmuje, a najgłębsza wdzięczność względem Boskiej Opatrzności napełnia mi serce.

W grudniu roku zeszłego (1900), opuściwszy Kilima-Ndjaro, wracałem właśnie do Utaity, gdy niespodzianie ukazał się mym oczom król pustyni. Bezludną i bezwodną przestrzeń między górami Kilima-Ndjaro i Utaity, każdy stara się przebyć co najprędzej tak z powodu wspomnianego braku wody i żywności, jak z przyczyny zwierząt: lwów, lampartów, słoni, bawołów i nosorożców, zakłócających spokój tej pustynnej okolicy i grożących zawsze niebezpieczeństwem podróżnemu.

Po pierwszym dniu pochodu przybyłem pomyślnie do Tavety, skąd zaopatrzywszy się poprzednio w wodę i produkta spożywcze, o świcie wyruszyłem w dalszą drogę, by co najprędzej znaleźć się w naszej stacyi misyjnej „Bura.“ Zimny wiatr, wiejący od śniegiem pokrytego Kiba, wlewał we mnie i w mych murzyńskich tragarzy nowe siły, szczególne zaś uczucie smutku i niepokoju, jakie w tej głuchej pustyni duszę opanowują, przyśpieszało nasze kroki. Ziemia wokoło pokrytą była spaloną od słońca trawą. Las rzadki, z krzaków cierniu i, w kość niemal zamienionych, drzew cierniowych — złożony, gdzieniegdzie tylko zielonych liści koronę dostrzedz daje, lub ukazuje pełną wdzięku w górę strzelającą Euforbię. Miejscami rozciąga się bezdrzewna przestrzeń bujną tylko pokryta trawą. Cała ta okolica obfituje w zwierzynę wszelkiego rodzaju: w antylopy, zebry, strusie i t. d. W trawie gnieżdżą się miliony różnobarwnych kolibrów, oraz innych skrzydlatych mieszkańców pustyni.

Kiedy tak w niemem milczeniu idziemy jeden za drugim, rozlega się nagle za mną okrzyk przerażenia, wydany przez jednego z mych czarnych towarzyszy: „Simba, Simba! lew, lew!“ Przestraszony stanąłem nieruchomo, obejmując szybkiem spojrzeniem przestrzeń dokoła: „Wapi? Wapi? gdzie? gdzież on jest? Murzyni jednak byli przenikliwsi odemnie. W oka mgnieniu zrzucili z siebie wszystkie ciężary i z szybkością, na jaką tylko nogi ich zdobyć się mogły, pomknęli w zarośla, wołając jeden do drugiego: „uciekaj! uciekaj!“

W tej chwili dostrzegłem i ja strasznego wroga. Wyszedł on właśnie z gęstwiny i utkwiwszy w nas wzrok groźny, zdawał się wyzywać do walki.

Nieraz się słyszy, że człowiek biały może stać wobec lwa spokojnie, byle tylko, nieruchomy, patrzył mu prosto w oczy, lub cofał się powoli, oddalając się w ten sposób nieznacznie, lecz nie uciekając. Mówią, iż lew nie tknie białego, chyba, że jest drażniony, lub podstrzelony, albo, iż głód go do poszukiwania zdobyczy zmusi, lub też, że skosztowawszy już raz mięsa ludzkiego, umie ten przysmak należycie ocenić. Myśliwy pewny swego strzału stać może spokojnie, obali bowiem przeciwnika kulą wymierzoną w kark lub w oko. Baczność tylko! W razie pudła bowiem, przeświadczonym niech będzie, że wściekły lew rozerwie go na sztuki.

„Massai“ nie obawiają się lwa zbytnio, wyśmiewają go nawet dowodząc, że żadne zwierzę nie jest tak ograniczone jak lew. Uzbrojeni w dzidę i tarczę ze skóry zwierzęcej, mkną oni przez pustynię w celu polowania na obfitującą tam zwierzynę. Jeżeli natkną się na lwa, kryją się w wysokiej trawie lub za płotem z cierni, dozwalając mu przebiedz obok. W stepie bezleśnym — schyleni — chowają się pod tarczą; lew (jak utrzymują) sądzi, że natrafił na mrowisko i idzie mrucząc dalej. Niektórzy stają nieruchomi, lub opierają się o drzewo i zamykają oczy; lew (według ich mniemania), bierze ich za suche gałęzie i w dalszą rusza drogę. Gdyby jednak pomimo to rzucił się na nich, wówczas schyliliby się, i w chwili skoku zwierzęcia, uczyniliby skok pod niem jużto zadając mu cięcie, już skacząc w stronę, wskutek czego lew padłby na ziemię. Mówią oni, że szlachetne zwierzę tak tym chybionym krokiem zwykle bywa zawstydzone, iż spuszcza ogon i zmyka co najprędzej. A niechże będą oni przez lwa ścigani, rzucają wówczas za siebie tarczę i podczas gdy lew wściekłość swoją na niej wywiera, sami chronią się jak małpy na drzewach.

Te i tym podobne historyjki brzmią bardzo zajmująco, gdy się ich ze skórą nienaruszoną słucha, lub czyta w książkach. Zupełnie inaczej rzecz się wszakże przedstawia, gdy się samemu w grę wchodzi.

Co do mnie, nie miałem ani czasu, ani ochoty do długich namysłów, a że z prawej i lewej strony drzewa cierniowe się znajdowały, więc idąc za przykładem mych towarzyszy, biegłem, ile sił starczyło, ku jednemu z drzew takich, którego gałąź łatwiej dosięgnąć było można. Obuwie utrudniało mi niezmiernie wspinaniu się na te wyżyny, i sądzę, że nie uszedłbym cało, gdyby lew odrazu na mnie się rzucił. Dobry Bóg, nie dozwolił mi tak marnie zakończyć życie. Lew najpierw zwrócił się ku czarnym, którzy również na drzewach znaleźli schronienie. Zabezpieczony, dowoli napatrzeć się mogłem strasznemu nieprzyjacielowi w gniewie. Wywijał on ogonem, dumnie wstrząsał grzywą, mruczał ze złości, obchodząc dokoła drzewa, na których byliśmy ukryci. Nie dodawało to szczególnej otuchy, zdarza się bowiem często, że lew kładzie się pod drzewem, na którem ofiara jego przebywa, i tak długo tam pozostaje, aż upragnioną dosięgnie zdobycz.

Opowiadał mi pewien chrześcijanin z Moucha koło Tunuguo, iż schronił się właśnie przed lwem na drzewo, zwierzę zaś położyło się najspokojniej w pobliżu. Nieszczęśliwy zbieg krzyczał, rzucał gałęzie, napróżno: lew pozostał nieporuszony. Wreszcie po upływie dwóch dni i nocy, które biedak spędził (o głodzie i pragnieniu) na drzewie, nadeszli ludzie; oczy-

wiście zwrócił ich uwagę na niebezpieczeństwo i wezwał pomocy. Wówczas pośpieszyli oni do wsi, skąd wrócili niebawem w większej liczbie zbrojni w strzelby, dzidy i bębny. Strzały, bębnienie i całe wyprawione przez nich widowisko tak na lwa podziałało, że się oddalił, wolność więźniowi wracając.

Tysiączne też Boskiej Opatrzności składałem dzięki na widok nieprzyjaciela oddalającego się w stronę pustyni. Spędziwszy czas jakiś jeszcze, o ile tego przezorność wymagała, na drzewach, spuściliśmy się wreszcie na dół. Tragarze wzięli znowu swe brzemię na ramiona i podróż została przedsięwziętą z największym pośpiechem. Strach tym razem skrzydła nam przypinał.

Żeby czytelnikom moim dać pojęcie o niezmiernej ilości lwów w tej końca nie mającej pustyni, opowiem jeszcze wypadek, jaki się zdarzył pewnemu myśliwemu z Austryi. Zaopatrzony w broń, ze znacznym orszakiem wybrał się on w stepy na polowanie. Właśnie położył antylopę, gdy na ten strzał potężny lew wyszedł z gęstwiny. Pewny swej ręki myśliwy dał ognia, trafiając w sam kark przeciwnika, który z rykiem padł na ziemię. Na hałas ten ukazuje się drugi lew w nieznacznej odległości i gniewnie zbliża się do strzelca, ale i tego mordercza kula pozbawia życia. Wówczas z innej już strony trzeci lew zmierza ku śmiałkowi; myśliwy wypala znowu z fuzyi, na nieszczęście, chybiając tym razem celu. Zanim zdążył dać strzał drugi, już był przez rozwścieczonego lwa obalony i jednem potężnem uderzeniem jego łapy pozbawiony wierzchniego ubrania. Szczęściem miał on nieustraszonego murzyna „Mtaita“ ze sobą, ten podał mu drugą broń i w krytycznej chwili swą własną w paszczę lwa wetknąwszy, zadał zwierzęciu cios śmiertelny. Strzelec na wpół żywy został uniesiony z placu walki.

Oby Opatrzność Boska nigdy nas nie opuszczała, kierując zawsze naszymi krokami i rozciągając Swą pieczę na wszystkich naszych drogach!

Wykaz datków znajduje się na 2. stronie okładki.

Zamknięcie redakcyi 20. listopada 1901.

Za wydawnictwo i redakcyę odpowiedzialny: Jan Kluczycki.

W Krakowie. Czcionkami drukarni »Czasu.«